

# Prolog

ŚRODA, 12 WRZEŚNIA 1962 ROKU

**Poranek**

**Uniwersytet Rice'a, Houston, Teksas**

John F. Kennedy stał na skąpanym w żarze teksańskiego słońca podium stadionu Uniwersytetu Rice'a. Przybył tu, na przedmieścia Houston, aby wspomóc Narodową Agencję Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej – NASA – podczas otwarcia oddalonego o trzydzieści pięć kilometrów nowego Ośrodka Załogowych Statków Kosmicznych. Rozkwit placówek NASA był dowodem na to, że amerykański program kosmiczny zmieniał się z eksperymentalnego przedsięwzięcia w śmiały plan sięgnięcia czterysta tysięcy kilometrów przez pustkę. A działo się tak dlatego, że Kennedy podjął taką decyzję.

Niemal szesnaście miesięcy wcześniej, w maju 1961 roku, młody prezydent przemawiał do połączonych izb Kongresu Stanów Zjednoczonych i najspokojniejszym głosem oświadczył niewyobrażalne: „Uważam, że ten naród powinien poświęcić się osiągnięciu przed końcem tej dekady celu, jakim jest wylądowanie człowieka na Księżycu i jego bezpieczny powrót na Ziemię”. Być może słowa Kennedy'ego nie brzmiały emocjonalnie, ale wywarły natychmiastowy skutek. Istoty ludzkie zaledwie raczkowały w podróżach poza ojczystą planetę. NASA wystrzeliła

## CZŁOWIEK NA KSIĘŻYCU

właśnie Alana Sheparda na piętnastominutowy lot suborbitalny. A teraz Kennedy dawał agencji niecałe dziewięć lat na to, aby dostała się na Księżyc. Stawka była jednak bardzo wysoka. Kosmos był nowym polem bitwy zimnej wojny, a Związek Radziecki wygrywał. W kwietniu Rosjanie wysłali w kosmos pierwszego człowieka. Dla Kennedy'ego na tę kompromitację nałożyło się tydzień później fiasko w Zatoce Świń. Nagle pobicie Rosjan w kosmosie stało się sprawą najwyższej wagi, a doradcy powiedzieli prezydentowi, że wyścig na Księżyc dawał Stanom Zjednoczonym szansę zwycięstwa. Kennedy podjął decyzję kilka dni po locie Sheparda.

W ciągu tych minionych szesnastu miesięcy wizja Kennedy'ego się zmaterializowała, a cel stał się wyraźnie widoczny. Dla krytykujących to zuchwałe przedsięwzięcie sceptyków prezydent miał prostą odpowiedź.

– Dlaczego stawiamy sobie taki cel? – zapytał słuchaczy na stadionie. – Równie dobrze można zapytać, po co wspinać się na najwyższą górę? Po co trzydzieści lat temu przelecieliśmy nad Atlantykiem? I dlaczego – dodał, nie zwalniając tempa – drużyna Uniwersytetu Rice'a gra mecze z drużyną Uniwersytetu Teksańskiego?

Publiczność milczała w upale, wachlując się i ocierając pot ze skroni, gdy Kennedy wymieniał wszystkie technologiczne przeszkody, które należało pokonać, aby zbudować statek kosmiczny Apollo i jego rakietę Saturn V. Bez cienia żenady wyłożył piętrzące się koszty przedsięwzięcia: budżet kosmiczny wzrósł już do wielkości czterdziestu centów tygodniowo na osobę – na każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko w Stanach Zjednoczonych. Było to więcej niż w ciągu wszystkich poprzednich ośmiu lat razem wziętych, a wkrótce miało wzrosnąć do pięćdziesięciu centów. Wysiłek miał zaowocować nowymi miejscami pracy, nową wiedzą i technologią, mówił Kennedy, a ostatecznie pierwsze podróże na inny glob miały być „w pewnym stopniu aktem wiary i wizji, gdyż nie wiemy, jakie korzyści na nas czekają”. I podczas gdy w 1962 roku droga na Księżyc wydawała się odległą, wśród

## PROLOG

słuchaczy byli mężczyźni i kobiety, którzy mieli poświęcić się temu zadaniu, a słowa Kennedy'ego rozpałały ich ambitne, młodzieńcze serca.

– Postanawiamy polecieć na Księżyc w tej dekadzie i zrobić te pozostałe rzeczy nie dlatego, że są one łatwe, lecz dlatego, że są trudne.

Jego głos był pełen energii i pewności siebie. Jego słowa przebijały się przez aplauz.

– Dlatego, że ten cel pozwoli nam lepiej zorganizować i ocenić najlepsze z naszych umiejętności i możliwości. Dlatego, że jesteśmy gotowi podjąć wyzwanie, nie chcemy tego dłużej odkładać i zamierzamy wyjść z tej próby zwycięsko...

### Popołudnie

#### Baza Lotnicza Marynarki Wojennej w Miramar, San Diego, Kalifornia

Ryk silników uderzył Charlesa „Pete” Conrada, gdy nadal nabuzowany po locie wychodził z kabiny swojego naddźwiękowego myśliwca Phantom. Było po szesnastej i Conrad zamierzał zdjąć lotniczy kombinezon i ruszyć prosto do domu. Kiedy jednak dotarł do pokoju pilotów, czekała tam na niego wiadomość z NASA w Houston, od Donalda „Deke” Slaytona. Conrad nie dopuszczał do siebie myśli, która na moment przemknęła przez jego umysł – że telefon od Slaytona miał zmienić jego życie.

Trzydziestodwuletni porucznik Charles „Pete” Conrad zdążył już wyrobić sobie reputację jednego z najbardziej uzdolnionych pilotów w kraju. Przybył do Miramar ze Szkoły Pilotów Doświadczalnych Marynarki w Patuxent River w stanie Maryland, gdzie dał się poznać jako znakomity specjalista od drążka i orczyka oraz niezły instruktor. Ostatnio przekwalifikował się na nocne lądowania na lotniskowcu, czyli najtrudniejsze i najbardziej wymagające zadania lotnicze, które można wymyśleć w marynarce i wszędzie indziej. I był w tym wyjątkowo dobry. To właśnie lądowania na lotniskowcach sprawiały, że w marynarce

## CZŁOWIEK NA KSIĘŻYCU

mówiło się o „lotnikach”, a nie o zwykłych „pilotach”. Conrad został teraz dopuszczony do operacji bojowych. Niebawem wraz z resztą dziewięćdziesiątej szóstej eskadry myśliwskiej miał odbyć misję szkoleniową na Pacyfiku, na pokładzie lotniskowca „Ranger”.

Od chwili dołączenia do eskadry w Miramar Conrad zaczął myśleć o odejściu z marynarki. Chodziło przede wszystkim o pensję. Pewnego dnia miał posłać do college’u czterech synów, a uposażenie pilota doświadczalnego w przemyśle było znacznie wyższe. Jeszcze w czerwcu rozesłał zapytania do kilku firm lotniczych, ale w 1962 roku w branży było niewiele stanowisk dla pilotów doświadczalnych. Jedyna oferta nadeszła z North American Aviation w Columbus w stanie Ohio, gdzie budowano nowy samolot szturmowy A-3J Vigilante. Conrad długo zastanawiał się nad tą pracą i w końcu stwierdził, że jest zbyt ryzykowna. Gdyby przeniósł się do Columbus, a program Vigilante nie przeszedłby do kolejnej fazy, skończyłby w lotniczym czyścicu, do końca swoich dni pilotując dwusilnikowego beechcrafta dla jakiegoś prezesa. Ostatecznie doszedł do wniosku, że marynarka nie jest taka zła. Po pierwsze, dawała gwarancję zatrudnienia, po drugie – latanie było wspaniałe. A dla Conrada latanie było w życiu najważniejsze.

Pierwsze lata życia Conrada były modelowym dzieciństwem przyszłego pilota myśliwskiego. Gdy miał pięć lat, ojciec zabrał go na miejskowy festyn w Ambler w Pensylwanii, gdzie można było wykupić lot w kabinie małego samolotu waco. Chłopak namówił ojca na bilet, a następnie wpełznął się na przedni fotel, nie oglądając się na nikogo. Gdy wiekowy waco wzniósł się w przestworza, Conrad zrozumiał, że tu jest jego miejsce. Od tej chwili latanie stało się jego obsesją. Dorastając na przedmieściach tak zwanej linii głównej Filadelfii, godzinami przesiadywał w kokpitach zrobionych z kartonów na produkty spożywcze i odwróconych krzeseł, bawiąc się w Lindbergha przelatującego nad Atlantykiem lub Edwarda „Eddiego” Rickenbackera związanego walką powietrzną podczas pierwszej wojny światowej. Jako nastolatek kręcił się w okolicach pobliskiego lotniska, wykonując różne niewdzięczne

## PROLOG

prace w zamian za lekcje latania – nieco zbyt częste, jak na gust rodziców, którzy wysłali go na rok do szkoły z internatem, aby sprowadzić go na ziemię. Zdążył jednak wrócić i wyrobić sobie prywatną licencję pilota w siedemnaste urodziny. Jako student Princeton Conrad wstąpił do marynarki, chcąc zostać pilotem morskim. Po uzyskaniu dyplomu wkroczył na drogę, która przywiodła go do tego miejsca – do grona najlepszych pilotów wojskowych w kraju. Ale nie był to jeszcze szczyt możliwości pilota i Conrad miał na koncie pewien zawód.

W 1959 roku był jednym z sześćdziesięciu dziewięciu młodych lotników, którzy otrzymali tajny rozkaz stawienia się w Waszyngtonie. Tam powiedziano im o Programie Mercury, ważnym dla kraju wysiłku na rzecz wysłania człowieka w kosmos. Trzydziestu siedmiu pilotów zdecydowało się nie składać swojej kandydatury. Pozostałych trzydziestu dwóch udało się do kliniki Lovelace w Albuquerque w Nowym Meksyku, gdzie spędzili tydzień na wyczerpujących testach medycznych. Conrad biegał na bieżni. Oddychał przez worek, pedałowując na stacjonarnym rowerze. Jego ciało sponiewierano i spenetrowano na wszelkie możliwe sposoby. Mierzono wszystko: od współczynnika IQ po długość jelita grubego. Conrad zaczął myśleć, że NASA poszukiwała po prostu znakomitych obiektów do badań medycznych, a nie znakomitych pilotów. Ciało go nie zawiodło.

Wytrzymał ciosy ze strony lekarzy, Conrad przeszedł do rozmów z psychologami w Bazie Sił Powietrznych Wright-Patterson w Dayton w stanie Ohio. Tam zaczął od oglądania kleksów i obrazków, opowiadając o nich historyjki. Patrząc wstecz, zaczął sobie uświadamiać, że to psychologowie go pogrążyli. Nie potraktował ich sztuczek wystarczająco poważnie. Gdy pokazali mu czystą kartkę, z kamienną twarzą odpowiedział:

– Jest odwrócona do góry nogami.

Później przyszły wszelkiego rodzaju testy wytrzymałościowe. Zamknięto go w ciemnym pomieszczeniu, pieczono w komorze termicznej, mrożono, wytrząsano i wirowano. Gdy to wszystko dobiegło końca,

## CZŁOWIEK NA KSIĘŻYCU

Conrad znalazł się w grupie finalistów, wraz z dawnym kolegą z klasy z czasów Pax River – Walterem Schirrą. Wreszcie NASA ogłosiła wybór siedmiu pierwszych astronautów. Schirra był w tej grupie. Conrad nie. Może i dobrze się stało. W czasie selekcji Schirra i kilku innych pilotów marynarki zaczęło rozmawiać o wątpliwościach dotyczących całego programu astronautów. Twierdzono, że celem Programu Mercury jest pokazanie, że człowiek może przetrwać w przestrzeni kosmicznej. Astronaucci mieli być pierwszymi w Ameryce – a zapewne pierwszymi na świecie – kosmicznymi podróżnikami. Ale czy mieli być rzeczywiście pilotami, czy zaledwie pasażerami? I co miało wydarzyć się po zakończeniu programu? Mieli wrócić do marynarki, ale trudno przewidzieć, jaki wpływ na ich kariery miało mieć całe to przedsięwzięcie. Conrad nie był przekonany, czy kilka okrążeń wokół Ziemi przyniosłoby jakieś dobre skutki. Wrócił do Pax i zostawił astronautykę za sobą.

W kolejnych latach obserwował z boku, jak astronauta Programu Mercury gnali w półmrok, a następnie w otwartą przestrzeń. Jeśli miał jeszcze jakieś wątpliwości co do programu, zostały one rozwiane 20 lutego 1962 roku, gdy John Glenn został pierwszym Amerykaninem na orbicie. Gdy co dziewięćdziesiąt minut okrążał on Ziemię na wysokości stu sześćdziesięciu kilometrów, wyżej i szybciej, niż jakikolwiek pilot myśliwca, Conrad latał swoim Phantomem nad Pacyfikiem. Gdy Glenn wodował w tym rejonie, ogłoszono to przez radio na częstotliwości marynarki i Conrad poczuł ostre ukłucie zazdrości.

Do tego czasu program astronautów podążył w kierunkach, o jakich się Conradowi nie śniło. NASA wybierała się na Księżyc. Do wiosny 1962 roku agencja ogłosiła rekrutację kolejnych astronautów. Tym razem aplikacje miały być ochotnicze. Nowa grupa miała zrealizować historyczne, największe lotnicze wyzwanie wszech czasów. Nawet jeśli szanse Conrada były marne, nie mógł przegapić tej okazji. W Bazie Sił Powietrznych Brooks w San Antonio mile zaskoczony stwierdził, że psychologowie byli znacznie mniej dominujący. Zastąpili ich raczej agenci FBI, sądząc po liczbie kontroli bezpieczeństwa. Kiedy jednak

## PROLOG

wszystko dobiegło końca, Conrad wracał do Miramar z przeświadczeniem, że ponownie zostanie odrzucony. Księżyc był dla Johna Glenna i Waltera Schirry, ale nie dla niego.

\* \* \*

Pokój pilotów – duże pomieszczenie odpraw, z wystarczającą liczbą wysiedzianych krzeseł dla całej trzydziestoosobowej eskadry – było niemal opustoszałe. Całą jedną ścianę zajmowały okna z widokiem na płytę lotniska. Po przeciwnej stronie kilku pilotów zgromadziło się przy ustawionych rzędem szarych szafkach ze sprzętem. Oficer dyżurny siedział za biurkiem. Wszyscy wiedzieli o zbliżającym się ogłoszeniu naboru na astronautów i gdy Conrad wszedł do środka, podnieceni poinformowali go o telefonie od Slaytona. Myślał, że żartują, dopóki nie pokazano mu wiadomości. Conrad usiadł na krawędzi biurka oficera dyżurnego i skorzystał z jego telefonu. Zadzwoił do Houston. Gdy połączono go ze Slaytonem, wymienili kilka uprzejmości. Następnie cichym, niskim tonem, którego często używają piloci myśliwców, Slayton zadał Conradowi pytanie, które ten miał zapamiętać na resztę życia:

– Czy nie chciałbyś dla nas polatać?

Conrad niemal się przewrócił. Slayton poinstruował go, żeby nikomu nie mówił. NASA chciała utrzymać wszystko w tajemnicy do momentu oficjalnego ogłoszenia w przyszłym tygodniu. Conrad miał zgłosić się w Houston pierwszego października. Podziękował Slaytonowi i odłożył słuchawkę, ze wszystkich sił starając się ukryć swoje uniesienie. Nie powiedział nic kolegom w pokoju pilotów ani nie zadzwonił do żony. Przebrał się w strój khaki, wsiadł do samochodu i ruszył w trzydziestokilometrową drogę do domu. Podekscytowany niemal rozbił samochód.

Podczas jazdy po raz pierwszy uświadomił sobie, że mógł mieć szansę polecieć na Księżyc. Myślał także o innych, którzy zostali wybrani. Nie wiedział, kto znalazł się w tej grupie, zastanawiał się jednak, jak to wpłynie na wszystkich, którzy rzeczywiście tego dokonają. Piloci

## CZŁOWIEK NA KSIĘŻYCU

Programu Mercury chodzili opromienieni blaskiem sławy, jeszcze zanim polecili w kosmos. Po wodowaniu jechali w uroczystych pochodach zasypywani serpentynami i spotykali się z Jacqueline Kennedy i Johnem F. Kennedym. Co miało stać się z tymi, którzy wrócą z Księżycy? Conrad jechał i myślał o niesamowitej ścieżce, na którą skręcało właśnie jego życie. Gdy był w Pax River, sąsiadka z naprzeciwka nazywała go „człowiekiem z Księżycy”. A było to jeszcze przed powstaniem programu astronautów. Był wówczas zaledwie pilotem doświadczalnym, który kochał latać. Teraz w końcu zmierzał na Księżyc. I obiecał sobie jedną rzecz: „To mnie nie zmieni”.